

Jak się zmieniło
ich życie po publikacji
w „Wysokich
Obcasach”,
opowiadają:
Nina Andrycz,
Anna Łojewska,
Maria Peszek,
Irena Staniek
i Kazimiera Szczuka



Nina Andrycz, wywiad
z 6 stycznia 2001 r. „Przyszłam
z pięknymi »a« i »o«”



WIELKI COM



Z **Niną Andrycz**
rozmawia **Katarzyna Bielas**

Nasz wywiad sprzed ośmiu lat „Przyszłam z pięknymi »a« i »o«” kończył się tym, że znalazła się właścicielka kamienicy, w której mieszka pani od 1949 roku...

Zażyła 2 tys. dol. miesięcznie za czynsz, więc już tam nie mieszkam. Przed laty szef URM św. pamięci pan Wieczorek mówił do mojego św. pamięci męża Józefa Cyraniewiczza: „Panie premierze, teraz można już wykupywać mieszkania, niech pan to robi, jak nie dla siebie, to dla pani Niny”. Na to mój mąż socjalista z głębokiego przekonania: „Mojej żonie zawsze miasto da mieszkanie”. I wyprorokował.

Dostałam 50 m, które później wykupiłam, też w Śródmieściu. Dobrze, że się przeprowadziłam, tamto miało 168 m, wszyscy w rodzinie pomierali, nie dałabym rady sama.

Czyli nie była to życiowa tragedia?

A skąd! Odetchnęłam. W tamtym dziewczyna do sprzątania w połowie mdlała. Poza tym umarła tam moja matka, którą strasznie kochałam, i gosposia, która 45 lat trzymała mnie przy życiu, bo uwolniła od kuchni. Tam zaczęły się też oznaki choroby umysłowej mojego męża. Po tamtym mieszkaniu chodziły za mną duchy, zostałam w nim sama, źle się czułam.

Co z rzeczami, z pani toaletami?

Część oddałam samotnym i bezpieniężnym matkom, część sprzedałam, część przywiozłam tu. Nie żał mi, człowiek jest ważniejszy od toalet. Jeden brukowiec, chciałam powiedzieć, tabloid, napisał, że mi gorąco współczuje. Zaprosiłam wtedy wicedyrektora tego pisma, pokazałam mu, jak wygodnie, luksusowo mieszkam wśród moich dawnych mebli, obrazów, napiłam go dobrym winem i powiedziałam: „Proszę pana, ja się tu świetnie czuję, proszę to napisać”. To nieprawda, że jestem kopnieta przez życie.

A książki?

To jest prawdziwy ból. Przewiozłam tylko dwa kuferki, są w piwnicy, a w pokoju tylko półka podręczna. Chciałam oddać, ale biblioteki mają komplet, nie wzięła ani Jagiellonka, ani warszawska Koszykowa. Szkoda książek, na szczęście mam bardzo dobrą pamięć, więc jak chcę coś zacytować, robię to z pamięci. Ale czasem chcę np. sprawdzić, jak się pisze jakieś słowo, i nie mam gdzie.

Słownik by się zmieścił.

Miałam na myśli słowo angielskie, bo angielskiego nie znam. Kiedy wchodziłam w życie, był to język arcyśmierny, kobietę obowiązywał francuski. Wyniosłam go z domu, dlatego maturę zdałam z niemieckim, te dwa języki i rosyjski znałam perfektnie. Kiedy zaproponowano mi engagement do Anglii, pod warunkiem że będę mówiła bez słowiańskiego akcentu, mój mąż popukał się w czoło: „Przecież ty nawet w polszczyźnie masz kresowy zaśpiew. I to jest piękne. Jak się go pozbędziesz w angielszczyźnie?”. Przekonał mnie.

Kilka lat temu odeszła pani z Teatru Polskiego. Jak pani to ocenia?

Najlepiej ocenił to naród. Szofer w taksówce powiedział: „Podobnie jak pani stamtąd wyszła, to mur pękł”. To prawda. Ale go załatali. Nikt mnie nie zwalniał, posłałam list, że nie chcę współpracować. Z Kiliannem juniorem, kierownikiem artystycznym, nie rozmawiam. Kiedy dzwonił, rzuciłam słuchawkę. A te różę, co tu stoją - już trochę zwiędły - to od Zaleskiego, dyrektora generalnego, który nic nie zawinił.

Nie żał pani trochę?

Bogu dzięki, że tak się stało. Tam teraz chodzą tylko dzieci. Siusiają na Szekspirze, bo to dla nich za trudne, za długie. Przy mnie chłopczyk siusiał na fotel, kobieta odwróciła się „Bardzo panią przepraszam, pani Nino - bo naród tak do mnie mówi, albo jeszcze »premierowo« - dziec-

ko nie dobiegłoby do kła, marmury, dywany, zresztą jest ciemno". A ja na to: „Niech pani przeprosi Arnolda Szyfmana, założyciela teatru w 1913 r., on czasem go odwiedza”...

Zartowałyśmy, a teraz łzy...?

Nie wolno tego pisać!

Jest mi przykro, ale nie dlatego, że tam nie gram. Bogu dzięki, że odeszłam, i tak mam pełne ręce roboty. Przykro jest dlatego, że teatr jest zniszczony, popsuli dywany, wszędzie brudy, moja marmurowa głowa robi się coraz ciemniejsza, bo nie ma środków na konserwację. To był mój dom, który stał się chlewem.

Ten budynek wybudował mój wuj Czesław Przybylski ożeniony z moją ciotką Różą Andryczówną. To są rodzinne mury i dlatego płaczę. Bo to był ten sam gmach, który mnie uratował w PRL-u, czułam się tam wolna, szczęśliwa, bo potrzebna ludziom. A im ciężiej było w Polsce kobietom, tym bardziej wzdychały na widok takiej toalety jak ta na tym portrecie - to ja jako Izabela Łęcka w „Lalce”. „Boże - mówiły - ona jest taka jak przed wojną”.

Poprzednio nie chciała pani wymienić nazwiska swojej najwięk-

szej miłości Aleksandra Węgierki, można było tylko opublikować pani zdjęcie pod jego portretem.

Portret wisiał w saloniku, żeby nie drażnić męża, tu wisi w sypialni.

To była tajemnica poliszynela, lata leca, możemy już o tym mówić. Kocham go do dziś dnia.

Są różne wersje śmierci Węgierki, prawdopodobnie w 1942 roku.

Moja wersja, jak wszystkie inne, jest niepotwierdzona.

Ukrywał go ksiądz katolicki. Kiedy przyszli gestapowcy, wyszedł i powiedział: „Ja jestem tym, którego szukacie”. Nie chciał tego księdza narażać. Zabrali go, ale nie zabili od razu. Zapytali: „Umiesz jeździć?”. A on: „Tak, całe życie prowadzę wóz”. Oni: „To będziesz nas woził”. Kompletnie nie wyglądał na Żyda, złote włosy, niebieskie oczy. Inaczej od razu by go zastrzelili. Ale były donosy, jak to zwykle w społeczeństwie. I w końcu tak się stało.

Słyszałam to od aktorki Zuli Dywińskiej, Żydówki, którą ukrywałam w czasie okupacji, spała w moim łóżku, udawała krewną. Potem dostała legalne papiery, Bund jej to załatwił, i wyjechała żywa i zdrowa do Izraela.

Rozstrzelali go gdzieś pod Brześciem. Dziwne, że on tego Brześcia strasznie się bał, uważał za obrzydliwe miasto. Powiedział mi o tym, kiedy się poznaliśmy, dosłownie w pierwszej rozmowie. A ja na to: „Ale ja się tam urodziłam”.

Przeżywała pani, kiedy w ub. roku Teatrowi Dramatycznemu w Białymstoku chciano odebrać imię Węgierki? Za kolaborację - prowadził teatr pod okupacją sowiecką.

Już w porządku. Był taki protest narodu, że zwrócili.

Było to przykre, bo stworzył bardzo dobry teatr, jego „Pigmalion” był najlepszy w Europie - to też wiem od Zuli, ale jest to potwierdzone. W 1941 r. przyjechali tam mistrzowie z MChAT-u i od dyrektora Aleksandra Tairowa, wielkiego reżysera rosyjskiego, żeby go zaangażować. Węgierko postawił jednak dziki warunek, że muszą wziąć cały zespół. Ich to wcale nie interesowało.

Może by się w ten sposób uratował.

Na pewno, na pewno.

Może by się zgodzili na dwie osoby, ale nie na wszystkich. Miał w zespole dwie gwiazdy: młodego Wołejkę - sam czar, i Woszczerowicza,



Anna Łojewska

Dziś w swoim mieszkaniu.
Gdy pisaliśmy o niej
30 listopada 2002 r.,
była bezdomna





który po jego odmowie zupełnie zmienił o nim zdanie. Powiedział do Józefa Hena: „Wiesz, to jest święty człowiek”. Ucieszyłam się bardzo, bo sama nie miałam go za świętego, znając jego erotyczne sukcesy, które odcierpiałam swojego czasu niemało. Sama też mogłam mieć sukcesy, ale nie potrafiłam. Jak wiadomo, skończyłam szkołę teatralną jako dziewica. Ja i Barszczewska, dwie najładniejsze dziewczyny skończyłyśmy jako dziewice.

Byłam w nim zakochana przez cały drugi i trzeci rok, on wiedział, jak się sprawy przedstawiają, ale dziewictwa mi nie odebrał. No cóż, można być bardzo szczęśliwą w inny sposób.

Zresztą natychmiast przyjechałyby moja mama i wytrzaszkałyby go po twarzy przy ludziach. A on się żenić nie mógł, bo był żonaty.

Z jego żoną zaprzyjaźniłyśmy się potem na śmierć i życie. To ona umeblowała mi poprzednie mieszkanie w alei Róż, była z profesji małarką, profesorką w ASP.

Obiecała jej pani, że nie rozbije małżeństwa?

I dotrzymałam słowa, ona mnie o to prosiła, wiedziała, że on jest za-

kochany poważnie i może zrobić głupstwo. Podobno mnie jedną o to prosiła, bo - jak już mówiłam - kochanek to on miał dużo. Żadna nie wspominała o konfliktach, po prostu dawały de, bo to było wygodne, wielki reżyser, warto.

Było mi z nim jak w raju. Łączyło nas pokrewieństwo duchowe. Do dziś piszę o nim wiersze, a o innych nie albo tylko dziękuję im za przyjaźń.

Pisze pani coś teraz?

Trzecią prozę. Piszę tam nawet o małżeństwie...

A tak się pani zarzekła.

Tak, ale nie mogę wyrzucić 21 lat mojego życia. Zresztą inaczej od razu przypną mi latkę, że tylko o pracy piszę i że to źle.

Zagrała pani ostatnio w nagrodzonym w Gdyni filmie „Jeszcze nie wieczór” Jacka Bławuta – rzecz dzieje się w Domu Starego Aktora w Skolimowie.

Wszyscy pytają, jak ja się utrzymuję w tak dobrej formie, a ja na to odwijam i...

Nie chcę. Nie pytam o to.

Ale to jest ważne. Kasiu, patrz, odwijam ucho - żadnych cieć. Mówią - zwyciężyła czas. Mój dobry wygląd wynika ze światopoglądu, bo nie czekam, że coś mi da mąż, tatuś, kochanek, tylko sama wszystko zdobywam. Kobieta, która jest samodzielna i ma własne pieniądze, zupełnie inaczej się czuje. Mogę pozwolić sobie na urlop za granicą i dobre kosmetyki.

Rozmawiamy jubileuszowo, dlatego zapytam o nasz tamten wywiad - czy taki tekst może coś zmienić, mieć znaczenie?

Tamten miał duże, do dziś ma. Ludzie się podzielili, jedni chwalili mnie za odwagę, inni byli oburzeni. Mówili, że będę miała straszną starość.

Najbardziej naród poruszyło to, że nie chciałam mieć dzieci. Jestem wierząca, ale nie jak w katolickiej prowincji. Jednak rąbnąć w katolickim kraju, że nie ma się powołania do macierzyństwa, to była odwaga. Aborcja z mężem także. Jak dobrze wtedy zrobiłam! Przecież teraz nasze dziecko byłoby dzieckiem komucha.

Ci oburzeni oczywiście mówili, że szklanki herbaty nikt mi nie poda na starość.

Teraz się pani śmieje...

No bo na jaką starość? Przecież ja właśnie zaczęłam 94. wiosnę życia.

rozmawiała **Katarzyna Bielas**